DARIUSZ WILCZAK

MOST

TAJNA OPERACJA PRZERZUTU ŻYDÓW

Moskwa-Warszawa-Izrael

WSPÓŁFINANSOWANA PRZEZ ART-B

FRONDA

MOST

DARIUSZ WILCZAK

MOST

TAJNA OPERACJA PRZERZUTU ŻYDÓW

FRONDA

Projekt okładki i stron tytułowych
Radosław Krawczyk

Redaktor prowadzący
Bartłomiej Zborski

Redakcja i korekta
Ewa Popielarz

Skład i łamanie
TEKST Projekt, Łódź

Copyright © by Dariusz Wilczak
Copyright © by Fronda PL, Sp. z o.o. All rights reserved.

ISBN 978-83-64095-49-8

Wydawca
Fronda PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

Wstęp

Alija to słowo, którego nie da się przetłumaczyć. Nie wystarczy powiedzieć: „wznosić się", „wejść", „iść ku górze". Nawet „chwalić" i „wysławiać" to za mało, bo wtedy tłumaczymy zwykły czasownik *ala*, który po hebrajsku oznacza bardzo zwykłe czynności. A chodzi o coś więcej, dużo więcej.

Mimo wszystko *alija* jest na pewno słowem, które można zrozumieć. Nawet jeśli się nie jest Żydem. Pod warunkiem, że się chce zrozumieć.

Alija to ruch. Ale nie taki, że się wstaje, się idzie, się wchodzi po schodach lub, weźmy na to, zapala się świece. Takie rozumienie może się okazać banalne. *Alija* jest też nie tylko wtedy, kiedy ma się zaszczyt podejścia do bimy w synagodze, gdy czytana jest Tora, i wygłoszenia dwóch błogosławieństw. „Dostać *aliję*" to być wezwanym do wygłoszenia tych błogosławieństw.

Najbardziej ze wszystkiego *alija* jest chyba pokonywaniem drogi. To może być droga z punktu A do punktu B albo symboliczna, duchowa droga, jaką się przeszło w procesie samodoskonalenia. Bardzo często jednej towarzyszy druga. Tak było w przypadku wyjścia z Egiptu. Trwający kilkadziesiąt lat *exodus* nie polegał jedynie na zmianie miejsca zamieszkania.

To była najważniejsza droga, jaką kiedykolwiek pokonał człowiek. Późniejsza ucieczka z Babilonu to, wobec biblijnego *exodusu*, tylko przechadzka. Obie drogi to *alije*. Ku najważniejszemu, z punktu widzenia religii i tradycji, miejscu – do *Erec Israel*, Ziemi Izraela.

Niby modlić się można wszędzie i wszędzie żyć, ale każdy Żyd wie, że wszystko, co najlepsze, jest w Izraelu. Tam jest najważniejsza świątynia, dziś tylko jej fragmenty, najważniejsze miasto – Jerozolima, z którym nie może się równać żadne inne miasto świata. Tam, w Izraelu, jest też najczystsze morze, najpiękniejsza plaża, najładniejsza góra zimą pokryta śniegiem i najgłębsze zapadlisko świata wypełnione bardzo słoną wodą. Są jeszcze najlepsza na świecie armia, najlepszy wywiad, najnowocześniejsze rakiety do zabijania i najlepsze systemy obrony przed zabijaniem. W ogóle wszystko jest „naj". Nawet historia ludu Izraela jest najbardziej bolesna ze wszystkich historii. Każdemu dziecku w *Erec Israel* są wbijane te prawdy do głowy.

Dlatego Żyd ma obowiązek zamieszkać w *Erec Israel*. Obowiązek wynika z Tory, Talmudu i mądrości rabinów. Obojętnie, w jakiej stronie świata przyszło mu żyć, powinien za wszelką cenę zmierzać do Ziemi Obiecanej. Ten, kto tu przybywa, by żyć, jest *ole* – wstępującym, pielgrzymem, w potocznym rozumieniu – imigrantem godnym najwyższej pochwały. Nie daj Boże, ktoś rusza w podróż w drugą stronę, z Izraela – w świat. On się nazywa *jared* – zstępujący, spadający, także w duchowym sensie. Tradycja nie ma zrozumienia dla *jared*. Bo nie można zrozumieć zamiany najlepszego miejsca do życia dla Żyda na gorsze miejsce. Jak głosi nauka – lepiej być wśród niewiernych w Jerozolimie niż wśród bogobojnych z dala od *Erec Israel*.

Tych pierwszych – Żydów w Izraelu – jest pięć i pół miliona, tych drugich – żyjących w diasporze – prawie osiem milionów.

A jeszcze w połowie XIX wieku Palestynę zamieszkiwało jedynie siedemnaście tysięcy potomków Abrahama. Do końca wieku z różnych stron świata przyjechało kolejnych kilkanaście tysięcy. W 1914 roku doliczono się już prawie stu tysięcy Żydów, głównie tych, którzy przyjechali z carskiej Rosji i z polskiej Galicji. W dwudziestoleciu międzywojennym wielkiej *aliji* dokonali Żydzi z Polski i z Niemiec, jeszcze większa ruszyła w 1948 roku (w tym roku założono państwo Izrael), a największa – czterdzieści dwa lata później.

Zaczęło się od krótkiego tekstu w „Yedioth Ahronoth", izraelskiej gazecie. W kwietniu 1988 roku kilkunastu amerykańskich biznesmenów pojechało do Moskwy. Rozmawiali z przedstawicielami radzieckiego rządu, z dyrektorami największych zakładów pracy, na koniec zostali przyjęci przez Michaiła Gorbaczowa. Edmund Hammer, amerykański przedsiębiorca pochodzenia żydowskiego, pytany przez znanego izraelskiego dziennikarza Severa Plockera o wrażenia z pobytu w Moskwie, mówił: „Zjedliśmy w tym tygodniu kolację z sekretarzem generalnym, panem Gorbaczowem. Spytałem tego wielkiego, radzieckiego lidera: towarzyszu Gorbaczow, dlaczego nie pozwalacie na swobodne wyjście Żydów z waszego kraju do Izraela. Gorbaczow odpowiedział: ma pan rację, panie Hammer, obiecuję, że w krótkim czasie stworzymy warunki, by każdy Żyd, który sobie tego zażyczy, mógł opuścić Związek Radziecki i udać się do Izraela".

Dwa lata później boeing 747 izraelskich linii lotniczych El Al wylądował na warszawskim Okęciu. Po godzinie wystartował do Tel Awiwu, zabierając trzystuosobową grupę żydowskich repatriantów ze Związku Radzieckiego. W ten sposób rozpoczęła się Operacja „Most". Operacja bez precedensu w historii państw i w historii służb specjalnych. Do połowy 1992 roku

mostem powietrznym ze stolicy Polski do stolicy Izraela przerzucono prawie sto tysięcy ludzi. *Alija* trwała wcześniej, trwała także później – samoloty z repatriantami już pod koniec 1989 roku latały przez Wiedeń i przez Budapeszt. Ale ani wcześniej, ani później tak wielu Żydów, w tak krótkim czasie, jak wtedy przez Polskę, w zorganizowanych grupach nie wróciło do Ziemi Obiecanej.

W Operacji „Most" brały udział polskie i izraelskie służby specjalne. Z polskiej strony wywiad, kontrwywiad Urzędu Ochrony Państwa i policyjni komandosi, a specjalnie powołana wtedy struktura organizacyjna została nazwana Grupą Realizacyjną Operacji Most (skrót tej nazwy wyjaśnia nazwę powstającej także wtedy jednostki specjalnej GROM). Ze strony izraelskiej w Operację zaangażowane były Mosad, Szin Bet i Sayeret Matkal.

Może zaskakiwać to, jak niewiele do tej pory powiedziano o Operacji. Zarówno w Polsce, jak i w Izraelu. Z wyjątkiem lakonicznych informacji o tym, że Operacja miała miejsce, do opinii publicznej nie przedostały się żadne szczegóły. Skrywane w pamięci uczestników tamtych zdarzeń i w archiwach Sochnutu – izraelskiej organizacji zajmującej się imigrantami – zaczynają być wreszcie, po latach, ujawniane.

Operacja „Most" była jednocześnie, i tak trzeba na nią patrzeć, częścią wielkiej *aliji*, która zaczęła się pod koniec lat 80. ubiegłego wieku i trwała kilkanaście lat. W tym czasie ze Związku Radzieckiego, a potem z Rosji, Ukrainy, Białorusi, Kazachstanu, Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu, Mołdawii i z państw bałtyckich wjechało do Izraela ponad milion nowych obywateli. Dziś nikogo już w Izraelu nie dziwią rosyjskie dzielnice miast, szkoły z rosyjskim jako językiem wykładowym, rosyjskojęzyczne gazety, czasopisma, rosyjskie stacje telewizyjne i radiowe, partie założone i kierowane przez imigrantów

z dawnego ZSRR, a nawet obecność Putina raz na jakiś czas odwiedzającego Izrael i traktującego ten gorący skrawek ziemi jak przypadkową kolonię Imperium Rosyjskiego. Język rosyjski słychać na ulicy, w sklepach, nawet w parlamencie Izraela. Nie dziwią młodzi policjanci patrolujący ulice Jerozolimy i rozmawiający między sobą po rosyjsku ani żołnierze, dla których hebrajski i rosyjski to języki własne. Emigranci zmieniają oblicze Izraela. Jego kulturę, obyczaje, tradycje, czyniąc z Ziemi Obiecanej coraz bardziej eklektyczne i niepowtarzalne miejsce na mapie świata.

O tamtej wielkiej *aliji* i jej najważniejszej części – Operacji „Most" – rozmawiałem z wieloma osobami i w Polsce, i w Izraelu. Wszystkim im dziękuję za pomoc i przekazane informacje. Szczególnie dziękuję Michałowi Sobelmanowi – rzecznikowi Ambasady Izraela w Warszawie; byłym dyplomatom izraelskim: Reuvenowi Sharonowi i Ami Mehlowi; Mosze Arensowi – na przełomie lat 80. i 90. ministrowi obrony i ministrowi spraw zagranicznych Izraela; Eli Sidi – Polce, obywatelce Izraela, mieszkającej w Tel Awiwie od 1990 roku; Andrzejowi Gąsiorowskiemu i Bogusławowi Bagsikowi – ćwierć wieku temu właścicielom Art-B. Dziękuję też generałowi Henrykowi Jasikowi, generałowi Gromosławowi Czempińskiemu i Jerzemu Dziewulskiemu, który kierował Grupą Realizacyjną Operacji. Przede wszystkim jednak dziękuję samym emigrantom żydowskim mieszkającym w Izraelu, którzy zgodzili się opowiedzieć o wędrówce przez Polskę do nowego kraju. I o swoich losach w Izraelu.

I. Wchodzimy

Umówiliśmy się na dziesiątą rano. Dochodzi jedenasta, a jego ciągle nie ma. Spóźnia się, nie daje żadnego znaku, może zapomniał. Chociaż to do niego nie pasuje. Tak mi się przynajmniej wydaje. Wreszcie dzwoni. Przeprasza. Poranne sprawy, nieprzewidziane zdarzenia w domu. Padła sieć komputerowa, zepsuł się kran, trzeba wezwać informatyka, hydraulika. Zdarza się. Prosi o cierpliwość, na pewno wkrótce przyjedzie, tym bardziej że ma tak blisko, właściwie gdyby wyjrzał z okna na piętrze, mógłby mnie zobaczyć, oczywiście gdybym wyszedł z baru i stanął na drodze, tej prowadzącej wzdłuż murów starego miasta. Radzi, żebym sobie skrócił czekanie. Tam obok jest amfiteatr, pałac Heroda, dalej port, przy samej plaży, a właściwie na plaży. Wystarczy pół godziny, żeby to wszystko obejrzeć, a on w tym czasie na pewno przyjedzie. To znaczy postara się, za pół godziny. Jeszcze raz przeprasza.

O tej porze roku (początek marca) plaże Izraela są prawie puste. Niewiele osób decyduje się na opalanie, a jeszcze mniej na kąpiel w chłodnym morzu. Mamy wiosnę. Temperatura powietrza w południe nie przekracza dwudziestu pięciu stopni, temperatura wody plasuje się poniżej dwudziestu. Jak na izraelską

riwierę to raczej zimno. Wieje wiatr, od czasu do czasu pada deszcz. Pogoda jak w środku lata nad polskim Bałtykiem.

Bar, w którym teraz siedzę, jedyny przy wejściu na plażę, reklamuje świeże owoce z jakiegoś kibucu i mleko prosto od krowy – z innego kibucu. Na zewnątrz w równym rzędzie stoją zaparkowane autokary. W programie wycieczek Cezarea jest tak samo ważna jak Jerozolima, Tel Awiw-Jafa, Hajfa, Morze Martwe, a dla pielgrzymek do Ziemi Świętej – Betlejem.

Gdyby z tego miejsca, z Cezarei Nadmorskiej, iść plażą na północ, można by w kilka godzin dojść do Hajfy. Mniej więcej tyle samo czasu zajmie spacer na południe, do Tel Awiwu, przez Haderę, Netanję i Herclijję. Cały czas plażą, szeroką na kilkadziesiąt metrów. Biały, drobny piach, podobny do tego z Władysławowa, Łeby, Ustki.

Izrael to bardzo mały kraj, mniej więcej taki, jak województwo mazowieckie. W tutejszej gazecie opublikowano kiedyś rozmowę z pilotem myśliwca. Żalił się, że piloci izraelskiej armii nie mają przyjemności z latania, bo ledwo się wzbiją w powietrze, już muszą skręcać, żeby nie wlecieć do Jordanii, Syrii, Libanu czy Egiptu. Najczęściej krążą więc w kółko nad swoim krajem, no chyba że wzlatują nad morze, dopiero wtedy mogą się nacieszyć i szybkością, i wysokością.

Cezarea Nadmorska nie jest wcale miastem, nie jest nawet wsią. To osiedle – kilkadziesiąt wielkich posiadłości ukrytych wśród palm, kaktusów, drzew oliwnych, cytrusowych i kilkaset mniejszych wilii. Na brzegu morza. Pierwszy rząd domów stoi nie dalej niż sto metrów od plaży. Zieleń, słońce, przez cały rok przyjemnie, bez mrozu zimą i bez upałów nie do wytrzymania, zdarzających się latem kawałek dalej, w głębi lądu. Tak mógłby wyglądać raj na ziemi. Jeszcze ten zapach – kwiatów, owoców i słonej wody.

Do tego raju od czterdziestu lat, od kiedy Rothschildowie oddali młodemu jeszcze państwu kawał swojej ziemi między

Tel Awiwem a Hajfą, ściągają najważniejsi i najbogatsi obywatele Izraela. Przewodnicy oprowadzający wycieczki po ruinach antycznego miasta lubią powtarzać, że na tym maleńkim skrawku niewielkiego kraju usadowili się główni przedstawiciele izraelskiego kierownictwa. Tego politycznego i tego biznesowego. Oprócz potomków protoplasty rodu Rothschildów, Izaaka, swoje domy mają tu też premier Beniamin Netanjahu, były prezydent Ezer Weizman, znany przedsiębiorca żydowski Eitan Wertheimer, biznesmen i polityk Avram Schapira oraz paru znanych sportowców, jak choćby słynna golfistka Laetitia Beck. W Cezarei swoją posiadłość wzniósł też jeden z bogatszych ludzi świata – Arkadij Gajdamak, urodzony zresztą w połowie ubiegłego wieku daleko stąd, bo w Moskwie. Obok stoi, zbudowana za 120 milionów dolarów, rezydencja (dziesięć tysięcy metrów powierzchni użytkowej) Borisa Kogana, rosyjskiego multimiliardera, i znane w całym Izraelu, a należące do innego miliardera, Harry'ego Recanatiego – Ralli Museum, z kolekcją obrazów Pabla Picassa i Salvadora Dalego.

Zanim ci wszyscy znani ludzie sprowadzili się do izraelskiego raju nad samym brzegiem Morza Śródziemnego, swój pałac miał tu Herod Wielki. To także tutaj rezydował prokurator Judei Poncjusz Piłat, a święty Piotr zatrzymywał się tu w czasie swoich licznych podróży. W Cezarei w 66 roku zaczęło się pierwsze powstanie żydowskie przeciwko Cesarstwu Rzymskiemu, a niespełna sto lat później również tutaj skończyło się ostatnie – powstanie Bar-Kochby.

Żyd Józef Flawiusz w *Dawnych dziejach Izraela* pisze:

> Również między Syryjczykami a Żydami zamieszkałymi w Cezarei doszło do zatargu o równość praw obywatelskich. Żydzi chcieli mieć większe prawa z tej

przyczyny, że ich król Herod, założyciel Cezarei, był z pochodzenia Żydem. Syryjczycy nie zaprzeczali, że to, co mówią o Herodzie, jest prawdą, twierdzili jednak, że Cezarea nosiła przedtem nazwę Zamku Stratona i wtenczas nie było w ich mieście ani jednego mieszkańca Żyda. Dowiedziawszy się o tym, zarządcy prowincji kazali pochwycić inspiratorów buntu z jednej i drugiej strony i wymierzyć im karę chłosty. Tak uśmierzyli rozruchy, ale tylko na krótki czas, bo mieszkający w Cezarei Żydzi, zadufani w swoje bogactwo i dlatego patrzący z pogardą na Syryjczyków, znowu poczęli miotać na nich obelgi, pragnąc ich rozjątrzyć. Ci znów, choć ustępowali im zamożnością, jednak nadęci pychą dlatego, że większą część stacjonujących tam, służących na żołdzie rzymskim żołnierzy stanowili mieszkańcy Cezarei i Sebaste (Samarii), sami też częstokroć urągali Żydom obraźliwymi słowami. W końcu nawet jedni drugich obrzucali kamieniami. I po obu stronach znalazło się wielu rannych i zabitych. Zwycięzcami byli jednak Żydzi. Feliks, widząc, że spór ten przeradza się w prawdziwą wojnę, udał się na miejsce i wezwał Żydów do spokoju. A ponieważ go nie usłuchali, wyprawił na nich zbrojnych żołnierzy. Wielu z nich zabił, jeszcze większą część wziął do niewoli i pozwolił ograbić niektóre domy w mieście, w których było pełno wszelkiego bogactwa. Lecz spokojniejsi i cieszący się poważaniem Żydzi, z obawy o siebie samych, prosili Feliksa, aby dla oszczędzenia pozostałych zatrąbił wojsku na odwrót, a im pozwolił okazać skruchę za popełnione czyny. Feliks przychylił się do ich prośby.

W jednej z tutejszych piętrowych willi z rozległym ogrodem mieszkał długie lata ważny dla Izraela polityk Mosze Arens – na przełomie lat 80. i 90. minister spraw zagranicznych, a potem minister obrony narodowej. Arens kilka lat temu wyprowadził się z Cezarei. Swoją posiadłość sprzedał człowiekowi, na którego czekam i który przeprasza, że się spóźni.

Nazywa się Andrzej Gąsiorowski – w Polsce znany jako współwłaściciel, razem z Bogusławem Bagsikiem, przedsiębiorstwa

o nazwie Art-B, do niedawna poszukiwany listem gończym, od ponad dwudziestu lat obywatel Izraela. W swoim nowym kraju bardziej znany jako filantrop, założyciel Helping Hand Coalition – organizacji zajmującej się pomocą rodzinom ofiar Holokaustu i żydowskim emigrantom – muzyk, kompozytor, przyjaciel wielu artystów, polityków, między innymi premiera Netanjahu, z którym sąsiaduje w Cezarei, tuż obok najbardziej znanego w Izraelu pola golfowego.

Gąsiorowski przyjeżdża w samo południe, spóźniony dwie godziny. Ma jeszcze coś do załatwienia w Tel Awiwie. Ruszamy jego buickiem. Po drodze mamy się zatrzymać w Herclijji – na obiad. Zmierzamy w kierunku autostrady numer dwa, łączącej Hajfę z Tel Awiwem. Jedziemy wolno, pada deszcz. Samochodów jest niewiele. Większy ruch zaczyna się tu dopiero na początku kwietnia i trwa do końca października, bo wtedy trwa izraelskie lato. Wycieraczki leniwie czyszczą przednią szybę.

I wtedy furgonetka jadąca z naprzeciwka nagle skręca na nasz pas. Gąsiorowski w ostatniej chwili zjeżdża na pobocze, unikając czołowego zderzenia.

– No – mówi żartem – Mosad. Pewnie nie chcą, żebyśmy rozmawiali – uśmiecha się i zwalnia. – Ludzie tu tak po prostu jeżdżą. Trzeba się pilnować.

Do Herclijji dojeżdżamy w kilkanaście minut. Miasto nazwano tak na cześć Theodora Herzla, twórcy współczesnego syjonizmu. Kiedyś, za czasów Bizancjum, było ono drugim pod względem wielkości, po Cezarei, miastem nadmorskiej równiny Szaron. Nazywało się wówczas inaczej – Apollonia. Dziś to drugie po Tel Awiwie najbogatsze miasto Izraela, założone tak naprawdę w latach 20. ubiegłego wieku przez siedem żydowskich rodzin – emigrantów z Europy, którzy na żyznych

polach równiny urządzili jeden z pierwszych w Izraelu moszawów, czyli spółdzielni rolniczo-hodowlanych, tym różniących się od podobnych im kibuców, że możliwe było w ich ramach posiadanie własności prywatnej. W Herclijji znajduje się największy port jachtowy Izraela. Dziesiątki, może setki wielkich oceanicznych jachtów cumują na nabrzeżu, tuż przy słynnej w całym kraju restauracji rybnej. W tej restauracji, z oknami wychodzącymi na morze, będziemy rozmawiali.

Właściwie niewiele się zmienił od wyjazdu z Polski latem 1991 roku. Ta sama szczupła sylwetka, długie włosy, niewiele siwych, te same bystre oczy. Ma pięćdziesiąt sześć lat, a wygląda może na czterdzieści parę. Język polski, mimo upływu lat, bez akcentu – ani angielskiego, którym posługuje się na co dzień, ani hebrajskiego, który rozumie, ale którego rzadko używa.

On wie, po co przyjechałem. Ma pierwszy raz opowiedzieć o swoim udziale w Operacji „Most", o prapoczątku Art-B i pieniądzach, jakie szły na *aliję* – wielki powrót Żydów do Ziemi Obiecanej w latach 90.

– Wiesz, dlaczego zgodziłem się mówić? – zaczyna i zaraz sam sobie odpowiada: – Bo upłynęło już wiele czasu, bo ludzie, którzy byli zaangażowani w Operację, są już na emeryturach, rentach albo pomarli, bo z punktu widzenia interesów Izraela, ale i państwa polskiego, nie ma powodu, żeby po tylu latach cokolwiek ukrywać. Minęło sporo czasu, nikomu nic już nie grozi. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Art-B powstała po to, żeby w niedalekiej przyszłości mogła dojść do skutku *alija*? Ten powrót Żydów ze Związku Radzieckiego i twój osobisty powrót?

– To dobra teza. Związana według mnie z przeznaczeniem. Kiedyś, po pierwszych latach spędzonych w Izraelu, byłem

w dużej depresji, nie wiedziałem, o co chodzi w moim życiu, bo początek mojej *aliji* nie był łatwy. Wszystko się działo w konflikcie ze mną samym. Trafiłem wtedy na pewnego rabina. Generalnie z rabinami nie utrzymuję kontaktów, ale on chciał się ze mną bardzo zobaczyć. Ten rabin nazywał się dziwnie – Roentgen, jak ten od zdjęcia rentgenowskiego. On wyleczył albo lepiej powiedzieć – uzdrowił – mojego bliskiego kolegę z raka trzustki. Modłami, jakąś energią, którą przekazywał, nie wiadomo właściwie czym. W każdym razie ja – lekarz laryngolog, praktykujący przecież kiedyś w Polsce – nie rozumiałem, jak to się stało, że beznadziejny już przypadek został uleczony. Rabin Roentgen długo ze mną rozmawiał. Nie znał w ogóle historii mojego życia i chyba go nawet specjalnie nie interesowała. Mówił o jakichś dwóch przymierzach Boga – z ludem i z ziemią, że mam jakąś misję do spełnienia. Powiedział, że przede mną był ktoś, kogo ziemia wybrała, ale potem odrzuciła, i że właściwie było nas dwóch. Teraz tylko ja zostałem, bo tego pierwszego ziemia nie zaakceptowała. Takim alegorycznym językiem mówił, ale wydawało mi się, że go rozumiem. Pomyślałem o Bogusiu Bagsiku i o misji, jaką mógłbym spełnić. Mówię więc do rabina: „Może chodzi o pomoc ocalałym"? On: „Tak, właśnie tak".

– Nie jesteś blisko Synagogi, prawda?

– Pochodzę z tradycyjnej, konserwatywnej rodziny protestanckiej Kościoła zielonoświątkowego. Oczywiście, z korzeniami żydowskimi, o czym mama mi powiedziała, jak byłem już dorosłym człowiekiem. Ojciec był czterdzieści lat pastorem, dziadek też czterdzieści lat. W czasach stalinizmu, kiedy można było stracić życie za wiarę. Choć nawet już po stalinizmie duchowni, jak wiadomo, tracili życie. Nikt z mojej rodziny nie zapisał się do partii, nikt się nie wyrzekł Boga. Ale jeśli chodzi o rabinów, to dla mnie obcy świat. Uczyłem się tego

świata, szanuję go. Chociaż pierwszego Żyda zobaczyłem dopiero w 1990 roku, w Izraelu. Jak pierwszy raz przyjechałem do Tel Awiwu, to w moim i Bogusława otoczeniu zaczęli się pojawiać różni Izraelczycy, ludzie z Sochnutu*, jacyś pułkownicy, generałowie, z Szin Bet, z Mosadu nie Mosadu. W każdym razie nie znałem wtedy nawet tych nazw, a tym bardziej ludzi. I jak się wkrótce okazało, wszyscy byli zaangażowani w Operację „Most".

– W którym momencie zdecydowaliście się wziąć udział w Operacji?

– To było wiosną '90 roku. Padał deszcz, trochę tak jak teraz, patrzyliśmy w morze, też jak my dziś. Siedzieliśmy z Bogusiem dokładnie w tym samym miejscu, w którym jesteśmy teraz. On mówi: „Słuchaj, Andrzej, możemy wejść w operację pomocy w powrocie Żydów, co ty na to?".

– Kto wam o tym powiedział?

– Nie wiem. Bogusław się z kimś widział, rozmawiał. My byliśmy w ciągłym ruchu, spotykaliśmy się z wieloma ludźmi. Informacje, jakie sobie z Bogusławem przekazywaliśmy, były na zasadzie krótkiej wojskowej komendy, bo cały dzień on i ja mieliśmy różne spotkania. Nie było możliwości, żeby zorganizować jedno wspólne – z całym tym mnóstwem osób. Podejrzewam nawet, że nie było konkretnego człowieka, konkretnej rozmowy, z której dowiedzielibyśmy się o Operacji. Musiało być tych spotkań przynajmniej kilka. Ja wtedy, jak mi o tym Boguś powiedział, odpowiadam: „OK, wchodzimy w to". Bogusław: „Ale wiesz, to może mieć konsekwencje, zaczynamy niebezpieczną grę dla nas samych". Ja: „Wiem, Boguś, wiem".

* Agencja Żydowska na rzecz Izraela, syjonistyczna organizacja działająca w wielu krajach na całym świecie, zajmująca się organizowaniem powrotu Żydów do Izraela i pomaganie im w osiedlaniu się tam. Sochnut jest tak zwanym organem wykonawczym Światowej Organizacji Syjonistycznej.

Spis treści

Wstęp 5
I. Wchodzimy 10
II. 747 45
III. Zamach 64
IV. Hatikwa 76
V. Uniesieni 109
VI. Refusenik 168
VII. Początek 179
VIII. Pomnik 197
Zanim ruszyła *alija*. Kalendarium 201